

№ 30. Rok XVIII.

Dnia 11 (23) Lipca 1898 r.



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



L. W. Szczerbowicz.

## ALKAIOS W MOTONIE.

OBRAZEK Z CZASÓW STAROŻYTNYCH

GRECYI.

III.

I d a s.

Około południa Alkaios poszedł oglądać zwaliska Motony. Miasto było niewielkie, zbudowane półkolem nad zatoką, z półkolistym placem publicznym czyli agorą, ozdobioną niegdyś trzema świątyniami w surowym stylu doryckim. Nie było tu śladu wytworności jońskiej ani zabytków sztuki; widocznie nieszkańcy trudnili się rzemiosłem wojennym, mniej dbając o wykwintne wygody. Domy prawie wszystkie były zburzone, niektóre zdradzały niszczącą potęgę ognia.

Nawykły do gwarnych, rojących się wesołym życiem miast azjatyckich, poeta lesbijski w smętnym zamyśleniu błakał się wśród głazów i gruzów, odgadując w swej wyobraźni koleje życia i działalność dawnych mieszkańców. Tu oto na placu publicznym, tłoczyli się niegdyś kupcy i handlarze, wystawiano na sprzedaż towary fenickie, przywiezione na stojących w porcie statkach: klejnoty bursztynowe, wyroby z cyny, purpurę, tkaniny i pachnidła Wschodu. Przed świątynią może właśnie koło podwójne, z uwiecznionych kwiatami dziewic i młodzieńców złożone, odbywało ruchem poważnym święty taniec na cześć bogów, śpiewając kolejno zwrotki peanu, sławiącego Apollina i Artemidę, gdy Ares zapalił krwawą pochodnię wojny i wszystko rozbiegło się w popłochu.

W tym oto domu może została tylko para starców, w tańcym grono strwożonych kobiet i dzieci, gdy cała młodzież pospieszyla do boku Arystomenesa. Co zaś tu dzieć się musiało, gdy Spartańczyk wniósł pożogę i zniszczenie, gdy walono i rozbijano mury, nie szcędząc świątyń bogów, gdy zwycięzca zabijał bez miłosierdzia niedołężnych starców i niemowlęta w własnych ich ognisk i ołtarzy domowych lub rzucał tłumnie do morza, gdy włókł do niewoli płaczące niewiasty i dziewice, gdy gonił szczupłą garstkę tych, którzy wyrzekali się ziemi rodzinnej i spieszyli ratować się na wątych statkach do litościwszych cudzoziemców...

Tak dumając, poeta lesbijski usiadł na wyniosłym zielonym pagórku nad morzem, pod cieniem karłowatych drzew figowych i zapuścił wzrok w stronę północną. Jasne niebo i przezroczyście powietrze dozwoliły mu ujrzeć w oddali miejsca, wstawione przez bohaterów, o których mówił mu Damofon. Na prawo sterczała góra Itomy ze zwaliskami świątyni Zeusa; na lewo siniąła Ira, okolona wąską błyszczącą wstęgą Nedy, a w pośrodku rozciągała się aż ku granicom Lakonii słynna dolina Stenyklaru.

Po południu Damofon podejmował swego gościa ucztą nierównie pokaźniejszą od porannej. Teano przyniosła lepszego i starszego wina, które zmieszała z wodą w dużym glinianym kraterze. Ona siedziała także z gościem u stołu, smutna i zamyślona. Gospodarz był ponury jak zwykle, a i w duszy Alkaiosa nie świecił żaden promyk wesołości. Wieszczyk lesbijski, który za młodu opiewał chętnie rozkosze życia, miał duszę nawskroś helleńską, żadną pogodą promiennej, jako właściwego sobie żywiołu, niezdołną karmić się długo smutkiem i boleścią. Smutnem było jego własne położenie obecne i dla tego wołałby dostać się między ludzi zadowolonych i szczęśliwych, radośnie i ze śmiechem używających darów żywota, trafił zaś na zgłiszczą minionej potęgi, znalazł przytułek na cmentarzysku przeszłości, a i gospodarz żył duchem jedynie wśród grobów, wylewał w rozmowie uczucia ponure. Nic więc dziwnego, że Alkaios zapragnął wyrwać się

z Motony jak najprędzej. Właśnie rozmyślał, jakim sposobem ma wypowiedzieć chęć puszczania się w dalszą drogę, wiedząc, że prawa gościnności greckiej nie pozwalają gospodarzowi o tem wspominać, a i gościom nakazują oględność, gdy Teano odezwała się głosem przyciszonym:

— Ojczu gościu, jeśli łaska, może zaśpiewałbyś nam jedną ze swych pieśni.

Alkaios uśmiechnął się smętnie.

— W młodości mojej, o Teano — rzekł — układałem piosenki, lecz wysławiałem w nich wesołego Bachusa, groźnego Aresa lub złotą Afrodytę, to wszystko więc nie dla ciebie.

— Ale Damofonie, widzę tam w kącie twoją cytrę. Zaśpiewaj nam co ze starych pieśni; radbym poznać muzę dorycką.

— Gościu — odpowiedział gospodarz, biorąc cytrę z rąk córki — chcesz, to posłuchaj; ale pieśń moja będzie twarda i dzika, jak nasza przeszłość i podania messeńskie, szorstka, jak mowa Dorów.

Poruszył leko struny starożytnej liry i zaśpiewał smętną melodyą z podań bohaterskich Messenii: o Arystomenesie i Arystomenesie.

Wybrał pieśń, której treścią była cudowna przygoda Arystomenesa. Dzielnny wódz Messeńczyków, gromiąc i goniąc przed sobą zastępy spartańskie, zapędził się raz aż do Lakonii, spłądował Amyklę i zagroził samej Sparcie. Strwożeni królowie Lacedomonu, zebrawszy sił ostatek, pobili Arystomenesa i zniszczyli jego oddział: sam wódz z 50 towarzyszami dostał się w ich ręce. Zdawało się, że wybiła już godzina zguby bohatera, gdyż Spartanie rzucili wszystkich jeńców do głębokiej przepaści, zwanej Keada. Widocznie jednak czarne Mojry \*) nie przecięły jeszcze wtedy nici żywota Arystomenesa, a Zeus go ocalił, bo gdy wszyscy inni polamali członki i wyzionęli ducha na dnie przepaści, bohater Messenii podtrzymał w upadku rozpostartemi skrzydły orzeł, święty ptak Zeusa, przez ojca bogów zesłany. Żył więc Arystomenes przez trzy dni w przepaści; czwartego zaś dnia, pochwywszy za ogon lisa, który tu spuścił się dla pożarcia trupów, wydobył się na świat i długo jeszcze bronił Iry od przemocy oblegających Spartan.

Zamilkł Damofon, blady był, a oczy jego ciskały błyskawice. Teano, chociaż zapewne słyszała nieraz te pieśni, również zbladła i drżała nieco. Alkaios w zamyśleniu spoglądał to na ojca, to na córkę; żałował może, iż wywołał śpiewy, pełne grozy; spodziewał się pewnie czegoś weselszego.

— Dobrze to — odezwał się wreszcie — że teraz niema tak strasznych zdarzeń. — Ale czy nie masz syna Damofonie? — zapytał po chwili.

Zamiast odpowiedzi, starzec zwrócił głowę ku wejściu, gdzie ukazał się właśnie młodzieniec, do ojca podobny, lecz kwitnący zdrowiem i siłą, jakby jeden z Dioskurów messeńskich, którego imię nosił.

— Oto syn mój, Idas — rzekł Damofon.

Młodzieniec pokłonił się do kolan ojcu, następnie gościowi, a wzięwszy kubek z rąk Damofona, wychylił go, uczyniwszy wprzód bogom libację. Po dopełnieniu tych ceremonii usiadł w milczeniu, czekając, aż ojciec doń przemówi.

— Przybyłeś ze Sparty? — pytał starzec.

— Tak, ojczu. Jest tu cały oddział młodzieży spartańskiej, gdyż ogłoszono krypteję na dziś od zachodu słońca do jutrzejszego południa. Przechodzę cię o tem zawiadomić.

Ojciec uśmiechnął się gorzko.

— Zapewne, o Alkaiosie — rzekł zwracając się do gościa — nie wiesz co to krypteja?

— Nie słyszałem, Damofonie.

\*) Mojry, czyli Parki, boginie, snujące według mitologii greckiej nić żywota każdego człowieka.

— Jest to polowanie na helotów, urządzone dla młodzieży spartańskiej w czasie pokoju, żeby nie zapomniła sztuki ścigania i zabijania ludzi. Młodzi obywatele, zwykle podchmieleni (w tym razie bowiem wyjątkowo upić się im wolno), uzbrojeni w sztylety, upędzają się po okolicy, zabijając bezkarnie każdego helotę, którego napotkają, w oznaczonym czasie. Towarzyszą im wielkie psy lakońskie, ułożone do tropienia zwierzyny.

— Wprawdzie heloci — wtracił Idas — bywają czasami uprzedzeni, jak i teraz: siedzą więc w domu i cała krypteja staje się nieszkodliwą zabawą, kończy się bez krwi przelewu, jedynie jako próba czujności dla stron obu.

— Tak — rzekł gospodarz — zdarzają się jednak ofiary...

— I uwłacza to godności naszej — dodał syn z chmurnym wyrazem twarzy.

\* \* \*

Tym razem krypteja zakończyła się smutnie: ofiarą jej padł Cheilon, jeden z sąsiadów Damofona.

Smutny ten wypadek zasępił czoła wszystkich i przyspieszył odjazd Alkaiosa.

Opuściwszy gród na wpół zamarły, odetchnął on swobodniej i rzekł do siebie:

— Nieznośnym byłby żywot starców, gdyby nie widok rozpoczynającej życie młodzieży i gdyby nie nadzieja, która jest zawsze nieoddzielną towarzyszką młodości.

## LEGENDA O DESZCZU.

Kiedy deszczyc na spalone niwy,  
Sypie z nieba swe perłowe rosy;  
Kiedy chmura zakryje niebiosy,  
Z jasną tęczą u pierzastej grzywy,  
I podnoszą główki trawy, ziola,  
Otrząsając krople wody szklane,  
Mówią, że to duchów łzy wylane,  
I rozlane tutaj przez anioła.  
Bo te małki, których dusze białe  
Anioł śmierci skrzydłami srebrnymi  
Unióś w jasne błękity od ziemi,  
Zostawiły swe sierotki małe. —  
I choć w niebie, wśród łąk lilijowych,  
Grząd złotemi gwiazdami zasianych,  
I owoców tęczą małowanych,  
Róż jutrzeńką kwitnących różowych,  
One płaczą za dziećmi swojemi,  
Sierotkami, co w smutnej żalobie  
Strojąc krzyżyk, modlą się na grobie.  
I smutniejsza ich dola na ziemi.  
Więc te łezki Pan Bóg przez anioła,  
Śle ku ziemi na tęczowej chmurze,  
Pod ich technieniem zakwitają róże,  
Pola żytnie i lasy i ziola.

Marya S.

Zofia Kowerska

## DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg.)

Wniesiono potem trzecią a następnie czwartą potrawę, wreszcie leguminę składającą się z grzanecek smarowanych masłem, pływających w śmieńcance. Psy były bardzo najedzone, co znacznie na uspokojenie się ich złości wpłynęło. Niektóre posnęły i sapwały głośno, inne biegały po mieszkaniu, wietrząc po kątach, Boksowi zrobiło się znowu gorzej po zbyt sutej uczcie. Widocznie tak suty podwieczorek nie posłużył mu. Posłano po weterynarza a biedna jego pani była tak zaniepokojona, że aż żal było na nią patrzeć. Panna Franciszka pocieszała ją jak mogła, Józik zaś nie dostawszy dla siebie ani kawałeczka chleba, z objędnym Bosym wysunął się cicho z mieszkania, aby pożegnaniem się z panną, nie zajmować jej czasu, który chciała widocznie poświęcić jedynie choremu Boksowi.

Upłynęło odtąd znowu pół roku. Jednego dnia, gdy Józik siedział zatopiony w pracy i szyjąc pantofelek damski, potwarzał sobie katechizm, który miał zadany na lekcję przez Bolesława Wirwońskiego, weszła panna sklepowa i zawołała Józika do pana. Józik myślał, że mu każą odnieść jaką zamówioną robotę lub ułożyć inaczey buty i buciki w wystawie, ale pan Wirwoński odesławszy pannę, rzekł do Józika:

— Mój chłopcze, jestem z ciebie bardzo kontent. Od czasu, jak jesteś w moim domu, nietylko nie byłeś dla mnie powodem najmniejszego zmartwienia ani kłopotu, ale owszem sprawiałeś się przykładnie i mogę powiedzieć, że cię polubiłem bardzo. Zaslugujesz na to, żebyś pobierał zapłatę za swoją robotę. Pracujesz sumiennie i jesteś dobrym przykładem dla towarzyszy. Odtąd będę ci płacił złoty za dzień roboczy.

Józik podziękował panu Wirwońskiego za to wszystko, co od niego odebrał, za naukę rzemiosła, za opiekę i za lekcye, które mu dawał pan Bolesław. Podziękował mu też za obiecaną zapłatę i dodał:

— O jedno tylko prosić będę pana majstra. Oto chciałbym, żeby pan tej zapłaty mi nie oddawał, tylko chował ją u siebie i oddał mi ją dopiero, aż się zbierze siedm rubli. Bo ja mam długi.

— Ty masz długi?

— Tak, proszę pana. Potrzeba było na lekarstwa dla pani Warbickiej, więc pożyczylem od Wojciechowej, kucharki, która służyła na pierwszem piętrze. A teraz do niej Bosa wieczorem chodzi jadać.

— Dobrze, mój chłopcze — rzekł pan Wirwoński — przedewszystkiem zapłacić trzeba co się komu winno!

— I od gospodarza domu chciałbym wykupić okulary pani Warbickiej, naparstek, książkę do nabożeństwa i druty do robienia pończochy.

— Druty do robienia pończochy? Naparstek? Okulary? A tobie to na co?

— Na pamiątkę po mojej opiekunce.

— Dobrze, będę zbierał to co zarobisz i oddam ci, gdy sam zażadasz.

Teraz już Józik wpadł w wielkie łaski u państwa Wirwońskich. Powierzali mu pilnowanie domu, gdy sami na jakie parę dni świąt, z dziećmi wyjeżdżali; posyłali go po odbiór pieniędzy; posyłali z pieniędzmi, które składali do kasy oszczędności; ufali mu zupełnie. Siadywał on w sklepie i sprzedawał obuwie, gdy pan Wirwoński szedł na obiad lub na miasto; zapisywał wydatki i przychody. Znał się już na skórze, więc często robił zakupy. Był tak potrzebny państwu Wirwońskim, że już nie rozumieli jakby się mogli bez niego obejść.

Wreszcie, nadszedł dzień, w którym Józik odniósł pieniądze Wojciechowej. Kobieta stanęła jak wryta.

— Co? — zawołała. — Odnosisz mi pieniądze? A toć ja myślałam, że prędzej zeszlóroczny śnieg zobaczę, niż te moje kilka rubli! Widziane to rzeczy, żeby taki pędrak dług oddawał? Przeciem ja, zresztą, nie tobie pożyczę, tylko dawałam tej biednej staruszce, coby tam była na strychu z głodu umarła, pierwej nim umarła z choroby! Tobiem tylko jednego rubla dała, coś go zgubił, i ażęś mdał z żalu po nim! To mi już oddaj tego rubla, a więcej nie chcę!

— Wszystko oddam — rzekł stanowczo Józik. — Obliczałem ja sobie dobrze wszystko co pani Wojciechowa pani Warbickiej i mnie dawała i odniosłem dziś wszystko!



Pożar fontanny naftowej.

— Nie wezmę twojej krawicy! — wołała kobieta.

— To mech ją pani komu chce odda, ale ja jestem taki szczęśliwy, że ten dług spłacam, że mego szczęścia nie ustąpię nikomu!

I rzeczywiście, szczęście promieniało z oczu Józika.

— Widzi pani — mówił Józik z radością — ja to sam zarobiłem własną pracą! Ja już mogę pracować i zarabiać! Mogę już nawet drugim czasem pomagać! O, jaki ja jestem szczęśliwy!

Wojciechowa lubiła zawsze popłakać, więc się nagle niewiadomo czego rozżaliła, poczęła szlochać i lzy obcierała fartuchem, a udawała, że się gniewa.

— A to pędrak! — mówiła — a to berbec! Będzie mi tu swemi zarobkami oczy wypiekał! Będzie mi się tu stawiał ze swoją uczciwą pracą! Ale kiedy ci te pieniądze niepo-

trebne, to dawaj! Znajdzie się na nie miejsce! Już i spódniczyny mi się wydarły i ciepłego kaftana nie mam!

Wojciechowa otworzyła skrzynkę, ze skrzynki wydobyła pudełko lubiane, z pudełka puszkę blaszaną, z puszkii pudełko papierowe na którym było napisane *soda*, z tego pudełka dobyła dziurawą i wycerowaną pończochę i włożyła w nią przez Józika przyniesione pieniądze. Gdy już wszystko na miejscu postawiła i skrzynkę zamknęła, rozżaliła się na nowo:

— I widzicie państwo! — mówiła, obcierając lzy fartuchem. — I to z tego pędraka, z tego sieroty, wyrósł taki tęgi chłopiec, a już i na siebie zapracuje i jeszcze oddaje co komu winien! Jak też to Pan Bóg nad takimi sierotami czuwa i opiekuje się lepiej, niż najtroskliwsza matka! No, chodź, mam tu kawałek doskonałej pieczeni, to sobie zjedz!

— Dziękuję pani. Jestem teraz zawsze syty. Mam jedzenia podostatkiem.

— Ale w twoim wieku to i dwa obiady jeść można! No, nie daj się prosić tylko jedz!

— Ha, zjeść mogę!

I Józik zasiadł do pieczeni, a Wojciechowa rozczulona, kiwając głową, wzięła się pod boki, patrzyła na jego młody i doskonały apetyt.

— Co to ci może zjeść taki chłopak! — mówiła. — No, niech ci będzie na zdrowie i rośnij pędraku, bo ja dawno mówiłam, że z ciebie będą ludzie!

Teraz Józik zaczął składać na kupno pamiątek po pani Warbickiej. I znowu przyszedł taki dzień szczęśliwy, w którym poszedł do gospodarza domu, gdzie dawniej mieszkał i kupił sobie pamiątki po swojej opiekunce. Ach, jakże on dobrze znał te stare, w czarną kość oprawne okulary, przez które staruszka czytywała, przez które patrzyła na książkę, na której on uczył się naprzód liter, sylabizowaniu a potem płynnego czytania. Jakże dobrze pamiętał te druty, które dla niego zrobiły niejedną parę skarpetek i tę książkę do nabożeństwa, z której się codziennie modlił! Naparstek on sam jej kupił w zamian za ten który ukradł jej Walek, a ona mówiła, że woli ten brzydki, tombakowy, niż dawny srebrny, bo kupił go jej Józik, za zarobione na usługiwaniu studentom, pieniądze.

Józik miał głowę pełną wspomnień i żalu po swojej opiekunce. Wszedł do kościoła żeby się za nią pomodlić, ukląkł na zimnych kamieniach posadzki i otworzywszy starą książkę do nabożeństwa o wyśódkłych kartkach, modlił się gorąco. Potem wznosił oczy ku niebu i szepnął:

— Czy jesteś ze mnie zadowolona, opiekunko moja?

I wydało mu się, że dusza pani Warbickiej rzeczywiście radowała się w niebie z tego, że jej wychowaniec szedł drogą cnoty i uczciwości.

Józik wróciwszy z tej wyprawy pokazał panu Wirwońskiemu przedmioty pamiątkowe, wyrażając mu swoje zadowolenie z ich nabycia.

— Bardzo dobrze! — rzekł pan Wirwoński. — Spłaciłeś tedy długi i kupiłeś te pamiątki. Spełniłeś to, coś uważałem za twój pierwszy obowiązek. Teraz nie masz już koniecznych wydatków, zatem cię proszę abyś koniecznie zarobki swoje składał w kasie oszczędności. Byś, na przykład, wnosił do niej każdy twój zarobek miesięczny, o ile ci nie będzie potrzebny na kupienie ubrania. Jesteś wprawdzie młody ale i młodym się zdarza, że popadają w chorobę, a wtedy zarobione oszczędności, okazują się bardzo pożyteczne.

Józik zgodził się chętnie na uwagi swego majstra. Czuli, że były one zupełnie słuszne. Zaczął też zarabiać coraz więcej, bo porządny chłopiec i dobry rzemieślnik dobre za robki mieć musi. Coraz częściej zastępował majstra w sklepie i warsztacie, a pan Wirwoński powiedział mu raz, że szczęśliwą była ta godzina, w której pani z pieskami wprowadziła Józika do jego sklepu.

Przez to, że w domu lubiono tak bardzo Józika, więc lubiono i Bosego. To też pies czuł się tu zupełnie na swoich śmieciach. Chodził jeszcze do Wojciechowej, ale nie gardził też darami pani Wirwońskiej. Tylko z wiekiem

i przy wzrastającym dostatku, stawał się wymyślnym. Byle co mu nie smakowało, śmietankę, toby jadł, na mleko kręcił nosem. Lubił tylko lepsze kaski mięsa, na kości już patrzeć nie chciał. Chleb musiał dla niego być smarowany masłem. Suchego nie jadał wcale; powąchał go tylko i odchodził z pogardą. Powodzenie zupełnie go zepsuło. Nie pamiętał wcale chwil niedoli i głodu, które niegdyś przeżył. Bardzo mu to miano za złe, ale że go lubiono, ulegano jego kaprysom. Pani Wirwońska nawet odkryła, że wolał smalec niż masło i nie szczydziła mu smalcu. Jedną tylko Wojciechowa była oburzona.

— Nędza nogi a chleb rogi! — gderiała. — Dokąd byłeś w biedzie to ci wszystko smakowało, a teraz to niby z ła-  
ski wybierasz najlepsze kawałki! Oj, żeby ci tylko znowu na biedę nie przyszło!

— A to jakiś łotr! zawołam zaraz policyanta! Spił się i robi tu chałasy!

Obdarty, podrapany i brudny chłopak spojrział z pod oka na Józika i rzekł:

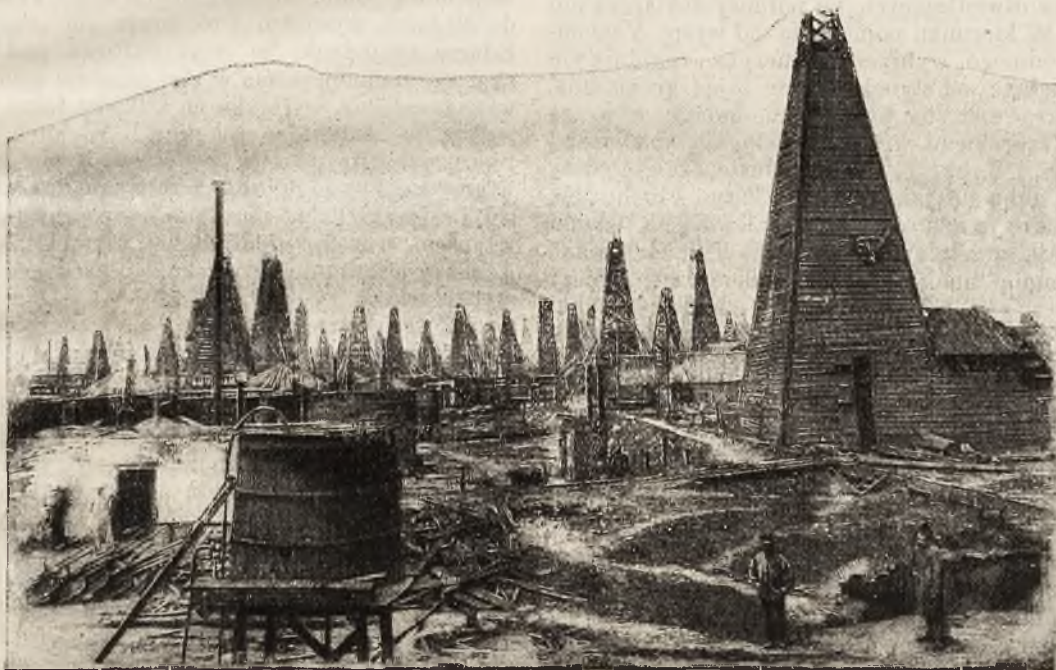
— A, Józik Kilowski! Cóż ty mię nie poznajesz? Toć my przecie starzy przyjaciele!

Józik ani twarzy ani głosu chłopca nie poznawał. Miał ochotę conajprędzej zabrać Bosego i iść swoją drogą, ale obdartus schwyił go za ramię.

— Daj dyskę na wódkę — rzekł zachrypłym głosem — nie puszcze cię aż dasz dyskę!

Coś ty za jeden? — krzyknął Józik — ja ciebie nie znam!

— O, znasz ty mnie dobrze... ja twój przyjaciel od ser-  
ca... Walek.



Studnie naftowe na półwyspie Apszerońskim.

Bosy w dobrobycie stał się ociężały i leniwy. Spał bez końca, chodził powoli, nawet z lenistwa, za kotami nie gonił. Na obcych ludzi nie warczał i zachowywał się ze spokojem pełnym taktu. To też Józik ogromnie się zadziwił, gdy pewnego razu, Bosy idący obok niego ociężałe, gdyż wzmaga-  
ca się tusza na lekość mu nie pozwalala, podniósł nagle nos do góry, zastrzygł uszami i rzuciwszy się ku otwartym drzwiom bramy, ujadać począł zapamiętałe.

Józik był pewien, że chodziło znowu o rodowego nie-  
przyjaciela, kota. Pobiegł za Bosym i ujrzał jakiegoś obdar-  
tego chłopca, z twarzą posiniałą i podrapaną, z włosami nieu-  
czesanymi i pełnymi słomy, z oczami nabiegłymi krwią, który  
szamotał się ze stróżem, chcącym go na ulicę wyrzucić. Bosy  
szarpał zębami za łachmany chłopca, jak gdyby był w przy-  
mierzu ze stróżem.

Józik począł wołać na zajadłego psa, podczas kiedy  
stróż krzyczał:

— Walek? — zawołał Józik — toś ty już do tego do-  
szedł?

— Bieda mię przesładuje... ludzie oszukali... nie moge  
się dorobić... Tyś wyszedł na pana to daj choć dyskę, bo  
mnie pragnienie pali.

— Nie dam ci ani grosza — zawołał Józik — takiemu  
jak ty dawać pieniądze, to grzech! Dyskę lepiej zostawić dla  
biedaka starego, który pracować już nie może!

Potrafił się oswobodzić z ręki Walka, który jego ramię  
trzymał jakby w kleszczach, zawołał na psa i poszedł w swoją  
drogę.

(d. c. n.)

## Źródła naftowe w Baku.

Patrząc na palącą się jasno w pokoju świecę stearynową lub lampę naftową, nasuwa się nam w myśli pytanie, czem w odległych krajach, nie znających jeszcze wynalazków nowożytnego przemysłu, ludzie nędzne mieszkania swoje oświetlać zwykli?

W gorących, podzwrotnikowych stronach, na wyspach Malajskich i Madagaskarze, rośnie drzewo, którego owoc w rodzaju orzecha służy mieszkańcom nie tylko za pożywienie lecz i za świecę. Kobiety tamtejsze pieką owe orzechy w piecu, a przebiwszy w nich następnie dziurkę, nawlekają je niby paciorki na sznurek i zawieszają na ścianach. W razie potrzeby ucinają dowolną długość tych wianków orzechowych wysuszonych, obwijając je w szerokie liście i zapalają. Jest to rodzaj pochodni, która nie tylko wewnątrz mieszkań oddaje przysługi, ale i rybakom na wodzie w nocy, gdy światłem nęcą ryby.

Gdy tak na południu ludzie w królestwie roślinnym szukają materiałów oświetlających, na północy dostarcza ich świat zwierzęcy. W kierunku północnym od wyspy Vancouver, wzdłuż wschodniego wybrzeża Ameryki, znajdują się małe rybki, nie większe od stynek, które żyjąc gromadnie, pokrywają częstokroć znaczne przestrzenie morza; wówczas mieszkańcy lądu szerokimi grabiami ściągają niezliczoną ich ilość na brzegi. Rybki te są tak tłuste, że gotowane przed ususzeniem, topią się jak smalec. Chcąc z nich robić zapasy na zimę, suszą je nad ogniem, nadziewają na rożenki drewniane i układają szczelnie w skrzynkach. Tak zachowane rybki w jedzeniu mają smak dobry, do palenia zaś, kobiety przeciągają przez nie knotki ze szmat lub włókien. Rybki palą się jak świece, wydzielając przyjemny zapach; łatwo też sobie wyobrazić, jak drogocennym darem przyrody są one podczas długich nocy zimowych dla biednych mieszkańców północy.

Porównując jednak tego rodzaju oświetlenie z naszymi, jasno płonącymi lampami, widzimy, w jak szczęśliwych jesteśmy warunkach, dzięki przemysłowości ludzkiej i ciągłemu doskonaleniu się wynalazków.

Świecę łożową, przy której słabem świetle pracowali ojcowie i dziadowie nasi przed pięćdziesięciu laty, zastąpiła znacznie jaśniejsza lampa olejna, która z kolei jako nazbyt kosztowną, zastąpiła w części świeca staerynowa, wynaleziona przed pół wiekiem; lecz praktyczniejszą, widniejszą od świec stearynowych i lamp olejnych, okazała się będąca dziś w powszechnym użyciu lampa naftowa. Spoglądając na plyn dający nam tak jasny płomień, nie domyślacie się może, że jest on wytworem świata zwierzęcego. Badania naukowe wykazały, iż ten rodzaj oleju ziemnego, powstał z gnicia niezmiernych ilości drobnych żyjątek morskich, przeszedłszy różne zmiany w głębi ziemi.

Początkowo najwięcej nafty dobywano w Ameryce północnej, gdy jednak okazało się coraz znaczniejsze zapotrzebowanie tego produktu, zaczęto poszukiwać źródeł naftowych w Europie. Znaleziono obfite kopalnie nafty w Galicyi i w Pireneach, ale najbogatsze, dorównujące obfitością źródłom amerykańskim, są kopalnie nafty na półwyspie Apszeronskim w pobliżu miasta Baku, nad morzem Kaspijskim. ryc. II.

Pierwsza studnia naftowa urządzoną tam została r. 1863, dziś fabryki przetworów naftowych w tej miejscowości liczą się na setki, a studnie z których czerpaną jest ropa, na tysiące. Dzielnica naftowa otoczona murem, z lasem czarnych, wysokich kominów, otrzymała nazwę: „Czarne miasta.”

Lubo przemysł naftowy istnieje dopiero lat kilkadziesiąt, olej ziemny znany już był w dawnych bardzo czasach. W księgach Machabeuszów, o których wiemy z historii świętej, jest wzmianka, że żydzi w niewoli u Persów zauważyli w ich kraju studnie, w których tamtejsi kapłani przechowywali nigdy nie gasnący, wypływający z ziemi ogień. Miejsce

owych źródeł wiecznego ognia zwane jest „Neftar” czyli „Naftoj,” co ma znaczyć „przybytek pojednania.” Stąd pochodzi nazwa nafty, którą w Ameryce zowią „petroleum” (olej skalny) lub „kaufina.” Ta ostatnia jest olejem skalnym przedystylovanym.

Nafta, jak wiemy, łatwo zajmuje się ogniem; za zbliżeniem zapalki do studni zapalają się gazy, które z trudnością tylko można ugasić. Wpływ tych gazów w głębi ziemi jest często widocznym; między innymi w Iwonicy, znanej miejscowości kuracyjnej, znajduje się źródło wody zwane „Bełhatką,” kłębiące się nieustannie i wydzielające gaz łatwo zapalny.

Nafta niekiedy wytryska z taką siłą z ziemi, że tworzy fontanny na kilkaset metrów wysokie.

Kopalnie nafty w pobliżu Baku, oddalone są o  $\frac{1}{2}$  do 2 mil od Czarne miasta, a nafta odpływa do fabryk rurami. Zbliżając się do owych kopalni, widzi się z daleka gęsty las wysokich kominów i unosząca się nad nimi bezustannie czarna chmura dymu; owe na pozór kominy są to studnie wiertnicze, w których pracują ludzie wydobywający z głębokości nieraz stu metrów z pod ziemi, materiał przerabiany potem na produkt oświetlający. Ropę naftową dostaje się za pomocą pomp, umieszczonych w drewnianych budach, 20 do 30 łokci wysokich i to zowie się „studnią wiertniczą.” Zdarza się jednak, że ropa naftowa pod ciśnieniem silnym skorupy ziemnej, sama w niej przebija sobie otwór i, jak już wspominaliśmy, wytryska na kilkaset łokci w górę, deszczem naftowym zalewając okolice. Wybuch taki poprzedza huk podziemny poczem wydobywają się gazy, wyrzucające w górę na 200 do 300 łokci kamienie znacznej wielkości, piasek i szlam. Taka fontanna naftowa tryska zwykle dni kilkanaście, czasem jednak dłużej, przez kilka miesięcy z rzędu, a niektóre fontanny wytryskują peryodycznie, w równych odstępach czasu.

Z wytryskami temi łączy się niebezpieczeństwo pożarów, które też w przerażających rozmiarach ponawiają się często w Baku.

Niedawno w jednej ze studzien należących do domu bankierskiego Rotschildów, fontanna wydająca ogromną ilość ropy dziennie, w kilka godzin po wytrysku, zapaliła się nie wiadomo z jakiego powodu i płonęła dziesięć dni i nocy, przedstawiając wspaniałą, ale pełną grozy widok (ryc. I). O ugaszeniu takiego pożaru nie może być mowy, bo straszny żar nie dozwala nawet na 200 kroków zbliżyć się człowiekowi i ogień wtedy dopiero gaśnie, gdy wypali się wszystkie materiały wybuchowe.

Naftę dobywaną z ziemi trzeba do użytku jeszcze oczyścić, czyli poddać rafinerii. Zadaniem owej rafinerii jest przerobienie ropy naftowej za pomocą środków chemicznych na benzynę, naftę do palenia i masut, z którego znowu robią smary do maszyn. Z ropy galicyjskiej wyrabiają prócz tego parafinę (rodzaj wosku skalnego, używanego na wyrób świec) ligroinę i gazolinę.

Z Baku wyroby naftowe statkami parowymi i kolejami żelaznymi rozchodzą się po najdalszych zakątkach świata.

Marya Łopuszańska.

## OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

— Prawda, że u waszego króla dużo mężnych wojaków — mówił jeden z rycerzy duńskich, imieniem Sigurd — ale niema jak u nas, drużyny rycerskich, mających osobnego

naczelnika, równego każdemu z towarzyszy poza polem bitwy, niema owego braterstwa, poprzyśnięganego wzajemnie między rycerzami, co tak podnosi męstwo i odwagę.

— Nie wiem, o jakich mówicie drużynach — odrzekł Ładon — ale co do braterstwa, to ono u nas także istnieje; wielu jest takich, co je sobie ślubują aż do zgonu. Wszyscy zaś, ilu tu nas widzicie, jesteśmy rycerzami, pasowanymi na wzór zagranicznych, wszyscyśmy sobie równi, ani jeden nie może się wynosić nad drugich; gdyby zaś który popelił jakiś czyn nieczny, byłby zaraz z naszego koła wygnany.

— A toć to samo nasze dróżyny! — zawołał Sigurd. — Zupełnie jak między rycerzami króla Swenona. Teraz widzę, żeście naprawdę w wielu rzeczach do nas podobni.

— Ciesz się to, bo radbym być podobnym do tak męźnych rycerzy — odrzekł Ładon uprzejmie.

— Więc u was także istnieje równość między towarzyszami broni? — spytał drugi z rycerzy duńskich, Torkil. Bo u nas nawet sam król Sweno jest mi równym podczas uczty, a przywodzi tylko na polu boju i tam jedynie winniśmy mu posłuszeństwo.

— Chciałbym widzieć — rzekł Ładon z uśmiechem — jakby wyglądał ten, co by naszemu królowi okazał nieposłuszeństwo w pokoju czy na wojnie. Niema takiego śmiałka na świecie, co by bez trwogi stanął przed jego obliczem zagniewanem, bo wówczas straszny jest. To, czegoście byli świadkami dziś rano, to jeszcze nic; ale niechno go co bardzo rozsierdził wówczas oczy mu płoną jak żar, brwi schodzą się w jedną linię na czole... Widzieliście nieraz żubra rozwścieczonego, gdy tratując wszystko nogami, łamiąc gałęzie, pędzi przed siebie i potężnym łbem swym rozbija wszelkie przeszkody? Otóż w takich chwilach król nasz staje się jemu podobien... i niech nikt wówczas nie waży się stawać mu na drodze; nie wyszłoby mu to bowiem na dobre. Niekiedy, gdy m patrzył na niego w boju, myślałem sobie, że wróg bardziej jeszcze może się zleknać błysku jego oczu, niż miecza, bo mnie samemu zdawało się, że za chwilę grom z nich wypadnie. Ale za to po bitwie zwycięskiej rozmawia z nami i ucztuje jak brat.

— Nasz król Sweno równie mężnym jest w boju — odrzekł Sigurd — a jeśli bogowie dopomogą mu spełnić ślub jaki uczynił, to świat usłyszy coś o nas.

— Jakiż to ślub? — spytał Ładon.

— A ot, jak to było — odrzekł Torkil — opowiem wam, bom był przy tem. Król Sweno ucztował z Sigwaldem, naczelnikiem rycerzy Wolińskich, na pogrzebie ojca Sigwaldowego, starego Strutharalda. Król ozwał się, że każdy z nich powinien złożyć dziś jakieś przyrzeczenie, godne bohaterów, którego pamięci, ani śmierć, ani czas niszczytel wszystkiego, zatrzećby nie mógł.

— Daj przykład, królu — rzekł mu wówczas Sigwald.

— A więc ślubuję — rzekł król — wygnać z Angli króla Etelreda i zabrać jego państwo! — „A ja ślubuję postąpić tak samo z Hakonem, rządcą Norwegii! — zawołał Sigwald. My wszyscy obecni tam rycerze z okrzykami zapamiętamy wasze bohaterskie śluby. — Ale cóż, Sigwald teraz w nieprzyjaźni z naszym królem, zdradziecko go zatrzymał w swojej twierdzy w Tomsburgu i spełnienie ślubu odwlecze się na długo, jeżeli wasz król Bolesław, nie wspomóż nas w nieśczęściu, bo on jeden ma zwierzchnictwo nad Tomsburgiem.

W tejże chwili król dał znak do wstawania od stołu, ruch się zrobił w izbie i rozmowa się przerwała. Wesołek znów począł się kręcić i piskliwie wypowiadać złośliwe swe docinki. Gdy książę Mieszko spytał go żartem, czy nie chciałby być jego giermkim, błazen odpowiedział:

— Miły królewiczu, nietylko giermkim ale błaznem nie chciałbym być u takiego jak ty.

— A toż dla czego? — spytał zdumiony królewicz.

— Bo ja tylko królom służę, a tyś książę na króla nie stworzon — rzekł Osa, kręcąc głową. Bolesław, to mi król prawdziwy, tyś mu nie dorósł nawet do kolan. Gdyby mię sam cesarz Henryk chciał wziąć na służbę, tobym nie chciał, a cóż dopiero ty, królewiczu. Henryk dla mnie za wielki,

Mieczysław za mały, a Bolesław w sam raz!.. — Ale — przerwał nagle, zasłaniając sobie usta — widzę, że chleb odbieram dworakom; przecie błazen nie od tego, żeby pochlebiał, tylko żeby drwił z wszystkiego. Dalejże, stary, do twe-go rzemiosła!

I poskoczył, potrząsając dzwoneczkami, ku najbliższej gromadzie. Książę Mieszko nie uraził się wcale słowami błazna, zaśmiał się tylko dobrodusznie i podszedł także do koła rozmawiających rycerzy.

#### IV.

Opat Tuni miał mieszkanie niedaleko dworu królewskiego, bo często król, potrzebując jego rady, wzywał go nawet późno wieczorem do siebie. Opat zazwyczaj pisywał listy, gdy zaszła tego potrzeba; wprawdzie ówczesni ludzie bardzo rzadko uciekali się do pisma, jednakże i wtedy zachodziła czasami konieczność tego.

Jednego wieczoru wicher na dworze szumił i zawodził, puszcza łysogórska huczała, gnąc wierzchołki odwiecznych drzew, które trzeszczały raz po raz, jakby o nie zaczepiały się wszystkie czarownice i czarodzieje, lecący na Łysą górę. Niebo było zasute ciężkimi, gęstymi chmurami, okrywającymi je jak całun.

W izbie opata palił się suty ogień, a on siedział, zapatrzyony w płomień, wsparłszy głowę na rękę. Czerwone płomyki wiły się i lizały suche drzewo; czasem płomień buchnął jaskrawo, a wówczas oświecał izbę i wszystkie sprzęty w niej się znajdujące, oraz płoną głowę Maćka, małego pacholika, który drzemał w kącie, owinąwszy się w kożuszek. Izba była niewielka; na ścianie wisiał krucyfiks, na stole zaś leżały zwoje rozmaitych rękopismów, budzące podziw odwiedzających. Bo też niektóre z nich były tak pięknie złocone i malowane, że aż oczy pociągały do siebie. Niekiedy znów ogień przygasał i wszystko dokoła nikoło w ciemności. Płomień syczał, robak więziony w spróchniałem drzewie skarzył się, zawodził cicho; na dworze pies wył gdzieś daleko, a świerszcz ćwierkał w szczelinach ściany. Opat siedział tak samotny i patrząc na ogień, przypominał sobie rozmaite dawno minionie rzeczy, poważne myśli napływały mu do głowy.

— Człowiek — mówił sobie — dokąd żyje podobien jest temu robakowi, który tam jęczy, uwięziony w pniu spróchniałym; nic nie wiedząc co się dzieje gdzieś tam poza granicami tego świata widzialnego; słaby jest i bezsilny, aż go śmierć wyswobodzi z niewoli, a wówczas przejrzy. Oto zaledwie kilka lat upłynęło od owego straszego roku tysięcznego, o którym mniemano, że jest ostatnim rokiem świata. Jaka to trwoga panowała wówczas, jakie modły zasyłano do Boga, a jednak rok ten przeminał, a nic się nie zmieniło w porządku wszechświata, ludzkie rachuby omyliły tym razem, jak już myliły nieraz. Czyż po tem wszystkim człowiek może jeszcze wierzyć sobie. A jednak są, wielu jest takich, co sądzą zuchwale, iż posiadają wiedzę dobrego i złego; wdzierają się w tajniki życia zakryte dla oczu śmiertelnych, a tym sposobem dostają się na bezdroża, wiodące prosto na potępienie wieczne. Czyż nie twierdżono nawet, że sam niedawno zmarły papież, Sylwester, dokąd jeszcze zwał się mnichem Gerbertem i był nauczycielem cesarza Ottona, oddawał się pokryjomu czarnej magii? \*)

Opat przeżegnał się na to wspomnienie; mimowoli stanęło mu w myśli, że i on, on sam nawet za młodu, czuł grzeszny pociąg do nauk zakazanych; pragnął zgłębić wszystko co go otaczało, poznać owe tajemnicze istoty, które niewidzialnie napęlniają cztery żywioły i unoszą się wciąż w powietrzu, ogniu i wodzie, oraz zamieszkują wnętrza ziemi. Ileż to razy wówczas, gdy patrzył jak dziś, w płonący ogień, zdawało mu się, że widzi tańczące salamandry, owe duchy ognia, które z niego biorą życie... Ta gorąca żądza wiedzy

\*) Takie mniemanie krążyło o uczonej papieżu w owym wieku zabobonów.

byłaby go w końcu zawiodła na potępienie, jak tylu innych, lecz Bóg zlitował się nad nim. natchnął go dobrą myślą i poznał w końcu gdzie jest światło prawdziwe. Lecz przedtem, ileż to pokus musiał przeżyć; szatan wciąż stawał mu przed oczy potęgę otrzymaną z pomocą wiedzy, potęgę wyższą nawet nad władzę królów.

Zwalczył jednak to wszystko i obrał drogę zbawienia. Dziś czuje on, że wszystko nic więcej, tylko próżność, choć zajął teraz wysokie stanowisko w świecie, został doradcą wielkiego króla, pogarda dla blasków doczesnych nie opuszcza go; nie jest-że to: vanitas vanitatum.

— Vanitas vanitatum! — powtórzył z westchnieniem, poprawiając ognia. — Próżność próżności, wszystko próżność!

Tymczasem wichura wciąż szalała na dworze, Maciek rozbudzony wyciem wiatru, który wstrząsała drzwiami i okiennicami, żegnał się pocichu, przypominając sobie wszystkie gadki, opowiadane na wieczornicach. W taką to noc latawice i zmory latają, a nocnice chodzą po lesie i wychodzą pić we śnie krew ludzką...

W tej chwili ktoś leko zastukał do drzwi. Maciek wstrząsnął się i spojrzał trwożliwie na opata. Ten nic nie słyszał, siedział pogrążony w myślach, cień jego odbijając się czarno, na przeciwległej ścianie, oświetlonej migotliwym blaskiem płomienia, dziwaczne przybierał kształty. Znow ktoś zastukał.

— Wejdźcie! — rzekł opat usłyszawszy.

Drzwi się otwały, w progu stanął człowiek.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł na wstępie.

— Na wieki! — odpowiedział opat, przypatrując się nowoprzybyłemu. — Cóż was do mnie sprowadza? i kto jesteście?

— Jestem Przemko, syn Zaboja — odparł zapytany — musieliście słyszeć o mnie, bom niegdyś wojował z królem w obcych krajach, a teraz osiadłem na roli, we własnym opolu. Gródek mój o pół dnia drogi stąd, w puszczy, więc przybyłem do was, by się poradzić w ważnej sprawie.

— Cóż to takiego? Siadajcie ot, tu na ławie, to mi rozpowiecie — rzekł opat.

Nowoprzybyły obejrzał się na Maćka, jakby nie chciał przy nim mówić.

— Maciek, możesz iść do czeladzi, nie potrzebuję cię teraz — rzekł opat.

Pacholik wysunął się z izby.

Przemko rozpoczął głosem niższym:

— Sprawa, z którą do was przybywam, ojcze, bardzo, bardzo ważna. Trzeba wam wiedzieć, że choć ja rządę opolem, lecz mam jeszcze ojca starego, ale to tak starego, że już tylko z dziećmi się bawi i za piecem siedzi; pewnie mu już nie wiele braknie do setki. Otóż podpatrzyłem od niejakiego czasu, że stary nocami wymyka się z gródka, bierze konia, jedzie gdzieś w puszcze, kędy go oczy poniosą i dopiero nad ranem wraca, nic nikomu nie mówiąc, gdzie był. Z początku służba gadała o jakimś duchu, ale ja dobrze się przypatrzyłem, że to nie duch, ino mój ojciec.

A choćby bramy pozawierać, to zawsze się wymknie. Już teraz nic innego nie myślę, tylko, że go kto oczarował

i dla tego tak się włóczy po nocach. Bo jakże może być tego inna przyczyna, powiedzcie ojcze?

Człowiek gdy się napracuje i nawłóczy cały dzień po polach, to legnie jak kamień z wieczora, i śpi; to też nie miałem nigdy cierpliwości iść i śledzić za nim, gdzie się obraca. Prócz tego, o tej puszczy tyle strasznych wieści krąży, różne głosy rozlegają się nocą, że nie wiem ktoby się ośmielił wędrować po niej o tej porze, chyba oczarowany, bo tego coś ciągnie nieprzeparcie do niej.

— Trzeba jednak byćcie go przypilnowali i dojrzeli raz, gdzie to się odbywają owe nocne wędrowki — ozwał się opat — a wtedy dopiero można będzie zdjąć ów szatański urok; inaczej nie nie poradzimy!

— Ta już widzę, ojcze, że inaczej nie można — odrzekł Przemko, drapiąc się w głowę — ale włóczyć się po puszczy, a do tego łysogórskiej, nocą, to także rzecz nie nazbyt miła. Ale cóż robić, skoro mówicie, że trzeba. Ani chybi, że go jakieś złe duchy oplątały, bo dawniej nawet nie zląził z pieca, a teraz chce mu się po nocach chodzić.

— Słuchajcie — rzekł opat poważnie — czy w waszym domu zachowują wiernie wszelkie przepisy chrześcijańskie? Odpowiedzcie mi na to szczerze.

— Ojcze miły, a jakżeby inaczej? I ja, i moja niewiasta i czeladź cała, wszyscyśmy pobożni chrześcijanie — odparł Przemko.

— A ojciec wasz?

— No, on, co prawda nie bardzo lubi księży, bo jest jeszcze z tych starych, co to pamiętają dawne czasy, ale przecie i on chrzcony, jeszcze gdy to król Mieszko burzył dawne świątynie, i stawiał ołtarze chrześcijańskie.

— Dla tego was tak pytam — rzekł opat — że bardzo być może, iż szatan opętał waszego ojca, by się wyrzekł Chrystusa, a powrócił do dawnych bałwanów, bo wiem, że niejednen stary w tych stronach tęskni jeszcze za nimi i choć pozornie chrzest przyjął, wciąż myślą zwraca się w tamtą stronę. Uważajcie więc dobrze, czy to samo nie jest z waszym ojcem, śledźcie za nim wciąż, a gdy co dostrzeżecie, wówczas przyjdźcie mi donieść znowu.

Gdy Przemko się oddalił, opat Tuni zamyślił się nad tem co usłyszał. Między ludem wciąż krążyły głuche wieści, że gdzieś w puszczy, w niedostępnych ustroniach, żyli jeszcze czciciele starych bogów; istniało nawet podanie, że bałwan bożka Świst-Poświst nie był zniszczonym, lecz kapłani uchronili go od zagłady, skrywając go kędyś w skałach. Wieści te rozsiewali dziady wędrowni, ślepi gęślarze, których lud słuchał najchętniej, bo mu śpiewali dawne pogańskie pieśni i podania zabronione, a jednak wiecznie miłe. Bo daremnie duchowieństwo wszelkiemi siłami starało się, by śpiewy te poszły w zapomnienie, ucząc natomiast lud różnych pobożnych hymnów, szatańskie owe piosenki, prawiące o bożkach, boginkach leśnych, albo wyrażające rozmaite zakłęcia pogańskie, przylgnęły tak do duszy narodu, że nie mógł się z nimi rozstać, jak gdyby były częścią jego samego. Gdzieindziej, w stronach bardziej otwartych dla nowego światła, lud zapominał o dawnych zabobonach powoli, tu jednak, wśród puszczy niedostępnych, chrześcijańska wiara bardzo słabo przeniknęła i nie rozlewała się dalej.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Pieski i kot (rycina). — Alkaios w Motonie przez L. W. Szczerbowicza — Legenda o deszczu wiersz przez Maryę S. — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — Źródła naftowe w Baku (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: Kanarek (z ryc.) — Królowa poziomok i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Gdybym ja była... wiersz. — Żywe zabawki. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.



# WIECZORY RODZINNE



## KANAREK.

— Widzisz, jak kanarek ładnie śpiewa i wesoło trzepocze skrzydełkami — mówiła Zuzia do młodszej siostrzyczki Olesia. — On chyba wiedzieć musi, że dziś właśnie rocznica jego urodzin.

— Pamiętam — odparła Olesia — jakeśmy się cieszyły gdy wydostał się ze skorupki jajka, choć był taki brzydki bez piórek, z ogromną głową i szerokim złotym dziobkiem.

— Mnie — zauważyła Zuzia — bawiło najwięcej, jak go matka karmiła troskliwie, wsuwając ostrożnie pożywienie w otwarty dziobek.

— Jak on teraz wyrósł i jak mu ładnie z temi złotymi piórkami — dowodziła młodsza dziewczynka. — Musimy obchodzić jego urodziny, jak mama obchodzi nasze; ja mu dam na wiązanie różowy cukierek, który wczoraj dostałam od dziadzi.

— Może lepiej puścić go na wolność — zagadnęła Zuzia — smutno nam będzie bez kanarka, ale mama zawsze nas uczy, że więcej powinniśmy pamiętać o korzyści dla drugich, niż o własnej przyjemności.

— A mnie mama upomina — dodała Olesia — że-

bym ptaków nie dręczyła i nie więziła w klatce, bo dla nich, jak i dla nas najmilsza swoboda.

— To wiesz co, chodźmy do mamy. Ona najlepiej nam poradzi, co zrobić, aby dogodzić naszemu ślicznemu kanarkowi.

Mama pochwaliła córeczki za ich dobre serca, że gotowe nawet były wyrzec się posiadania ładnego ptaszka, byle mu przysporzyć radości, ale jednocześnie wytłomaczyła, iż w naszym kraju wolność kanarkowi nie wysłaby na dobre, że ptaki tego gatunku przywiezione do Europy więcej jak przed stu laty z wysp Kanaryjskich, leżących na zachodnim brzegu Afryki, przywykłe do gorąca, nie mogłyby u nas znieść chłodu pod gołym niebem i albo zginęłyby z zimna, albo, uszedłszy szczęśliwym trafem drapieżnych pazurów kocich, zadziobane zostałyby przez wróble lub inne jakie niegościnnie ptaki.

— Kanarek wasz w klatce urodzony, w klatce też żyć musi — kończyła mama — wy tylko staraniem o utrzymanie porządku jego siedziby, pamięcią w dostarczaniu świeżego zawsze pokarmu i świeżej wody, odwdzięczajcie mu się za przyjemność jaką wam sprawia swoim śpiewem i osładzajcie mu jego niewolę.

# KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dokończenie).

— Trzeba nam myśleć o powrocie — rzekła wreszcie — nie wiem gdzie się znajdujemy, ale nas śnieżnopióry gołąbek odprowadzi.

Wydobyły się z wąwozu i zaczęły iść szybko, trzymając się za ręce, ptaszyna uprzedziła ich, że mają przed sobą długą drogę.

Wtem w środku lasu usłyszały jakiś dziwny hałas: pisk i krzyk mieszał się z hukami i tententem, słychać było trzask gałęzi, wrzawa zdawała się przybliżyć.

— Co to jest? — zapytała Halinka, wtrzymując się zaniepokojona.

— Nie wiem — odpowiedział gołąbek, pofrunę naprzód, wy wejdźcie na drzewo i czekajcie na mnie.

Dziewczynki wspięły się na pochyłą brzozę, a gołąbek odleciał.

Upłynęła długa chwila, gołąbek nie wracał, natomiast wrzawa nie ustawała, a odzywała się jednocześnie ze wszystkich stron.

— Halinko, ja się boję — szepnęła Jagusia.

— Nie bój się, gołąbek zaraz wróci — odpowiedziała cicho Halinka.

Naraz las zaroił się jakimiś małymi istotami.

— Co to za maskary! — wykrzyknęła Jagusia, a Halinka poznała tłumy pokrzywek, uciekających w popłochu i z przeraźliwym wrzaskiem. Za nimi wynurzyły się gromady goniących je grzybków, widocznie po zaciętej bitwie gromiono uciekających.

W chwilę później wysunął się z lasu orszak, w którym bystre oko Halinki dostrzegło króla grzybków, pod baldachimem i Leśną Paprotkę, jadącą na sarence.

Dziewczynka wydała okrzyk radości, zrozumiała teraz co się dzieje, zsunęła się z drzewa i pobięła rzucić się na szyję Leśnej Paprotce, której już teraz mogła wytłumaczyć swoje postępowanie.

Przywitano ją z wielką radością. Tak jak przewidywała, znaleziony płaszcz i kapelusz naprowadził domysł, że utonąła i wypadek ten głęboko wszystkich zasmucił. Ale sarenka odnalazszy swoją panią, powiedziała komu zawdzięcza wolność, królowa zaś odzyskawszy swoją sarenkę, opowiedziała całą prawdę królowi, a ten obiecał jej wszelką pomoc.

Jakoż z rannym brzaskiem oddziały grzybków ruszyły na kotlinkę i po zaciętej walce wyгнаły pokrzywki, pobiwszy je tak, że już nie było obawy, aby wrócić mogły.

Po wzajemnych objaśnieniach, obie dziewczynki udały się z Leśną Paprotką i z orszakiem królewskim do kotlinki, do której na głos Sarenki, poziomki-dziewczynki zbiegać się zaczęły, zrazu nieśmiało i pojedynczo, potem radośnie i gromadnie.

Okrażając kotlinkę, znalazły w głębi piwniczki jakąś

dzieweczkę; doniosły o tem zaraz królowej, która kazała ją przyprowadzić i ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich, ukazała się Elżbietka blada, wygłodzona i poraniona.

— Elżbietko, co się z tobą stało? — wykrzyknęła Halinka, rzucając się ku niej.

Elżbietka z płaczem opowiedziała, że ją niegodziwe pokrzywki uwięziły, a potem obchodziły się z nią jak z niewolnicą, zmuszały do pracy, biły i męczyły za byle co.

— O jakże ciężko ukaraną byłam za to, że się zemścić chciałam nad wami — mówiła płacząc — ale przebaczcie mi już, bo gorzko żałowałam i oplakałam swoje winy.

Naturalnie, że ani Leśna Paprotka, ani Halinka nie chowały żadnej urazy, a Halinka podziwiając jak zawsze złych spotyka kara, a dobrych nagroda, okazała jej jednak tyle serdecznego współczucia, że Elżbietka rozplakała się wzruszona.

— Jakaś ty dobra — rzekła — ja ci tyle razy dokuczałam, że powinnaś się cieszyć, iż mnie nieszczęście spotkało.

Śnieżnopióry gołąbek zagruchał przypominając Leśniczówkę. Zaczęły się serdeczne pożegnania.

— Ale ty wrócisz do nas, Halinko — rzekł król — smutnoby nam było bez ciebie.

— Albo ze mną zostaniesz — zawołała Leśna Paprotka — moja Halinko droga, będziesz mi siostrą i towarzyszką.

— Halinko! — wykrzyknęła Jagusia — nie odchodź od nas, ja się bez ciebie nie potrafię poprawić, a ty mnie swoim przykładem nauczysz, jak być cierpliwą i szlachetną.

— I mnie także przebacz — dodała Elżbietka — i nie rozłączaj się z nami.

— Królu — odpowiedziała Halinka, schylając się do jego ręki — kiedym was opuszczała, ustępując miejsca Leśnej Paprotce, nie przewidywałam, że szczęśliwym trafem przyczynię się do tego, iż odzyska ona swoją kotlinkę. Teraz jednak darujcie mi; będę do was często przychodziła, ale z wami nie zostanę. Paprotka będzie wam córką i połączy kiedyś pod swoim panowaniem grzybki i poziomki. Ja już teraz mam rodzinę, wujostwo tęsknią do mnie, a siostry mnie kochają, dla nich mam pierwsze obowiązki. Wróć do Leśniczówki.

Jagusia i Elżbietka zaczęły ją ścisnąć i dziękować. Król i Paprotka nie zdołali zmienić jej postanowienia.

Po serdecznych pożegnaniach dziewczynki wróciły wszystkie trzy razem.

Od dnia tego Jagusia i Elżbietka zmieniły się do niepoznania, zaczęły gorliwie nad sobą pracować, a dobra Halinka uczyła je przykładem, nie przybierając nigdy tonu wyższości, albo zarozumienia.

Wujostwo przywiązali się do niej jeszcze więcej. Ukochana przez całą rodzinę wyrosła na dzielną i rozumną kobietę i poślubiła Janka. Złączona też pozostała zawsze węzłem ścisłej przyjaźni z Leśną Paprotką, która jako królowa grzybków i poziomek, oba państwa doprowadziła do kwitnącego stanu.



## Gdybym ja była...

Gdybym ja była chyżą ptaszyną,  
 Tobym na skrzydłach latała ino,  
 Tam gdzie szumiące wodne potoki,  
 Gdzie złote gwiazdy, lekkie obłoki.  
 Gdzie te zbóż w polu złociste pasy,  
 Gdzie łąki wonne, szumiące lasy.  
 Gdybym ja była złocistym kłosem,  
 Co się pod żniwa schyla pokosem,  
 Tobym ja rosła, gdzie rola czarna,  
 Dla biednych ludzi — w pożywne ziarna.  
 A gdybym była słonkiem wiosennem,  
 Co to zagłada oczkiem promiennem  
 Przez małą szparkę do każdej chatki,  
 Tobym tam poszła, gdzie biedne dziatki,  
 Co w takich smutnych chatkach mieszkają,  
 Że nawet słońca blasku nie znają.  
 Jabym tam światła zaniosła wiele,  
 Na radość wspólną i na wesele.  
 A gdybym była kwiatkiem na łące,  
 Co to ma takie dzwonki pachnące,  
 Tobym już zawsze, a zawsze chciała,  
 Żeby mnie jakaś pastuszka rwała,  
 I barwne ze mnie wianuszki wiła,  
 I krzyż nad drogą niemi stroiła.  
 Krzyż taki smutny, tak opuszczony,  
 A taki stary i pochylony...  
 Ale mi nie być ptaszkiem na chmurze,  
 Ani mi z pączka zakwitnąć w różę,  
 Ani słoneczkiem, co świeci z wiosną,  
 Ani kłosami, co w polu rosną,  
 Lecz być dziewczyną, u ojca, matki,  
 Kopać zagony, podlewać kwiatki,  
 Z błyszczącym sierpem chodzić na żniwa,  
 Ze lnu wysnuwać białe przędziwa.  
 Więc będę, będę dziewoją hożą,  
 Taj w mojej chacie słoneczną zorzą.

M. S.

## ZYWE ZABAWKI.

(Dokończenie).

— A widzisz? — odezwały się dzieci do Franusi — i mama powiedziała, że mówimy prawdę, moja lalka żywa.

— A jakże, żywa — odpowiedziała Franusia.

— I mój bębenek żywy i pałasz żywy — wykrzyknął Adaś, wyciągając głowę z pod kołderki.

— A jakże żywy — potwierdziła Franusia.

— Dobranoc Filo — rzekła Kocia, otulając lalkę.

— Dobranoc bębnie i pałazu — mówił także Adaś, naciągając kołderkę na bębenek i pałasz.

— Dobranoc wszystkim państwu — rzekła Franusia ze śmiechem — proszę już teraz nie mówić, tylko spać.

Dzieci znużone wkrótce zasnęły.

Obudziwszy się na drugi dzień rano, jakież było ich przerażenie, gdy ani lalki, ani bębenka i pałasza nie ujrzeli przy sobie, tylko Franusia układała rzeczy i sprzątała.

— Moja Fila! moja Fila! — krzyknęła Kocia.

W tej chwili zawtórował głos drugi:

— Franusiu! gdzie mój bębenek?

— Poszedł do ogrodu z pałaszem — odpowiedziała Franusia spokojnie.

— Gdzie moja lalka, Franusiu! — pytała przez łyżę Kocia.

— Panna Fila poszła także do ogrodu, zdaje mi się, że podlewa kwiatki w Koci ogródku — rzekła Franusia.

— To nieprawda! — wykrzyknął Adaś — bębenek nie poszedł, bo niema nóg.

— To może pofrunął — rzekła Franusia, nie przestając sprzątań w pokoju.

— Bębenek niema skrzydełek — krzyczał Adaś, a oczy błyszczały mu z gniewu.

— Moja lalka ma nóżki, ale sama nie chodzi — wołała Kocia, siadając także na łóżeczku.

— To już sama nie wiem co jest prawdą, przecie Kocia i Adaś mówili, że i lalka żywa, i bębenek żywy i pałasz żywy — mówiła Franusia — jeżeli żywe, to mogły iść, pani mówiła, że wszystko co dzieci mówią, to prawdą teraz będzie.

Kocia pytając spojrziała na braciszka, ale chłopczyk tylko buzię otworzył i zdawało się, iż nic nie wie w tej chwili, co się przy nim dzieje.

Malcy mieli tak zabawne miny, że Franusia parsknęła śmiechem.

Adaś ocknął się z zamyślenia.

— No, nie śmieję się — rzekł gniewnie.

— Nie śmieję się — jak echo powtórzyła Kocia.

— Jakże się nie mam śmiać, kiedy dzieci takie śmieszne — rzekła Franusia. — Ale lepiej wstać prędko, pójść do ogrodu, może odnajdziemy zbiegów.

Dzieci ubrały się spieszenie, i co się rzadko zdarzało bez żadnych grymasów. W ogrodzie spotkali Celinę, która chodząc uczyła się lekcyi, zaczęli jej opowiadać o zniknięciu lalki, bębenka i pałasza, a Celinka wystuchawszy uważnie, uśmiechnęła się tylko i rzekła:

— To prawdziwy kłopot, widzicie, co to za bieda mieć żywe zabawki, powędrowało to wszystko w świat, i gdzie ich teraz szukać?

— Ale, bo widzisz — rzekła Kocia trochę nieśmiało — moja lalka... była żywa... tylko na żarty.

— I mój bębenek był żywy na żarty — dodał chłopczyk.

— To być nie może — rzekła Celinka — na żarty nikt nie żyje, przecie wczoraj zrobiliście o to awanturę i tyle było krzyku i hałasu.

— Eh... myśmy żartowali — szepnęła Kocia.

— Niepodobna, z żartów nikt nie płacze, nie tupie, nie kłóci się — odpowiedziała Celinka poważnie — mama mówiła, że mówiliście prawdę; skoro zabawki były żywe, musiały pójść gdzie im się podobało.

Nie pomogły żadne poszukiwania, sprawa wytoczyła się przez mamę, która powiedziała, że z pewnością zabawki uciekły od niegrzecznych dzieci i wrócą dopiero wtedy, gdy ustaną sprzeczki i płacze.

Upłynął tydzień, dzieci tak samo się sprzeczały i płakały, w drugim trochę już tego było mniej, bo dzieci bardzo pragnęły powrotu ślicznych swych zabawek, upłynął trzeci tydzień, a wszyscy w domu dziwili się, że dzieci są coraz grzeczniejsze; piąty tydzień upłynął i ani razu nikt sprzeczeki nie słyszał; lalka jednak i bębenek nie wracały, gdy przecież i szósty tydzień zeszedł tak samo zgodnie i dzieci uczyły się pilnie, jednego poranku otworzywszy rano oczy, o radości! ujrzeni na sofce lalkę, zarumienioną jakby od zmęczenia i długiej przechadzki, przy niej leżał spokojnie bębenek i pałasz.

Bronisława Porawska.

### SZARADA.

od Puszczyka z Pilawy dla siostrzyczki.

Pierwsze jest męskie imię zdrobniałe,  
Przysłówkiem *drugie*, wspaniale całe,  
Wszystko ci nazwie krzew dobrze znany,  
Z wonności kwiecia wiele lubiany.  
Więc zgadnij prędko, bardzo cię proszę,  
Szaradkę małą, którą przynoszę.

### ŁAMIGŁÓWKA.

ułożyła Kurka z P. dla Puszczyka z P.

Ułożyć 13 wyrazów, których pierwsza litera pierwszego wyrazu, ostatnia drugiego, pierwsza trzeciego i t. d. złożyć powinny imię i nazwisko niedawno zmarłego poety. Znaczenie wyrazów: 1) Owad z rzędu dwuskrzydłych. 2) Organ zmysłu. 3) Kwiat piękny i wonny. 4) Słynny podróżnik ostatnich czasów. 5) Rzeka w Niemczech. 6) Rzeka w Afryce. 7) Miasto w Rosyi. 8) Nazwa miesiąca. 9) W starożytności miasto w Małej Azji. 10) Pasma gór w Azji. 11) Nazwa północnej części Afryki. 12) Ptak z rodz. wróblowatych. 13) Dopływ rz. Ural.

Sylaby:

### KWADRAT MAGICZNY.

ułożył Aleksander W.

a a o o	Zwierzę ssące pletwonogie.
o o m n	Miasto w Algierze.
n n r r	Pora dnia.
r s s p	Wiązka zboża.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go

Szarady: Ha — wan — na.

### Łamigłówniki literowej:

Sampson — Schley — Cervera — Devey.

Rebusiku: Warszawa leży na lewym brzegu Wisły.

## Skrzynka do listów.

**Tadziowi W.** Krzaki leszczyny rodzą owoce w pięć lat po zasadzeniu. Za najlepsze orzechy laskowe uważają ogólnie tak zwane tureckie; w okolicach też miasta Trapezuntu, nad morzem Czarnem, hodują krzew leszczyny w tak wielkiej ilości, że wywóz roczny owocu przynosi około miliona rubli, zapewniając utrzymanie tysiącom ludzi.

Jakkolwiek **Zosia K.** zdziwiona jest wiadomością o roślinach, które się żywią owadami, niemniej wszakże fakt ten jest stwierdzonym przez badaczy przyrody, z czem niejednokrotnie już w ubiegłych latach obznajmialiśmy czytelników naszych, podając odpowiednie ryciny i opisy. Ale większą jeszcze od tamtych osobliwością jest *Utricularia*, roślina wodna, która się żywi rybami. Ojczyzną jej są jeziora południowej Ameryki, gdzie w porze deszczów kryje się w głębie, mając pozór martwych wiązek włókien i dopiero z powrotem pięknej pory, wypływa na powierzchnię, rozwijając śliczne swe kwiaty. U gałązek jej znajdują się pęcherzyki czyli woreczki napełnione wodą, a opatrzone ruchomą, przejrzystą, błyszczącą klapką. Woreczki te dochodzą niekiedy do 50 milimetrów średnicy. Skoro drobne rybki lub owady przygnęcone blaskiem, wpadną do nich, już z powrotem wydobyć się nie mogą, klapka bowiem otwiera się tylko na wewnątrz i zamknięta w tem węższym rybkę, czeka już tylko śmierci, gdy soki jej roślina wciąga w swe tkanki jako pożywienie.

Liścik **Stokrotki z Sobolówki** Jaskółka za powrotem swym odbierze, tymczasem radziłyśmy poznać owe łamigłówniki i t. d., o których Stokrotka wspomina.

**Tygrys zębaty** daje niezaprzeczony dowód, że w czytaniu pisma naszego znajduje dużo przyjemności, skoro oplaca prenumeratę z własnych oszczędności. Miło nam też będzie zapoznać się bliżej z tak sympatycznym czytelnikiem i oczekujemy następnego listu. Rozwiązania łamigłówek i zagadek dobre.

**Aleksandrowi W.** Historia dotychczas nie wspomina o Napoleonie Wielkim, bo jakkolwiek Napoleon I wielkim był zdobywcą i dokonał czynów wyjątkowych w dziejach ludzkości, jednakże ani współcześni ani nawet potomność nie przyznała mu przydomka „Wielkiego”. Samo więc już założenie łamigłówniki jest fałszywe.

Prośbie **Nini z Ożen.** uczynilibyśmy chętnie zadość, lecz oddawna redakcja doręcza wszystkie marki, jakimi rozporządzać może, Siostrom miłosierdzia, które, o ile sobie przypominamy, zbierają je na tenże sam piękny cel, jaki nam Nina przedstawia. Numer dodatku wysłany zostanie.

Przyjemnie nam, że **Manusia Ł.** z odnowieniem prenumeraty sama list napisała.

**Vanilla**, o którą zapytuje **Zygmunt R.** jest owocem rośliny pnącej, pasożytnej, oplatającej zwykle silny pień drzewa; rośnie ona głównie w Meksyku, na wyspach Sundzkich i wyspie Reunion. Widok plantacji podczas kwitnienia jest czarujący. Dopiero po wyschnięciu czarne strączki wanilli nabierają owego zapachu, służącego za przyprawę niektórych potraw i ciast, a mianowicie czekolady. Mimo, że sama wyspa Reunion dostarcza około 50,000 kilogr. suszonej wanilli, jest to zawsze produkt w handlu dość drogi.

**Gołąb pocztowy** myli się sądząc, iż choroba dżumą zwana w obecnych czasach zaginęła zupełnie; przeciwnie Wsłód a mianowicie Indye, są właśnie teraz widownią bardzo licznych wypadków takiej śmierci, a zaraza coraz groźniejsza przybiera rozmiary, gdyż zaślepieni w swej niechęci Indyanie nie chcą w żaden sposób poddać się warunkom zdrowotnym, jakie rząd angielski usiłuje zaprowadzić w tym kraju, który zagarnął pod swoje rządy. Tłumy burzą szpitale, zabijają lekarzy, zrywają druty telegraficzne, niszczą listy i przesyłki, rozbijają butelki z lekarstwami, a tymczasem tysiące ludzi pada codziennie ofiarą strasznej zarazy, przed którą Europa zabezpieczyć się usiłuje zaprowadzoną kwarantanną.

Liczne łamigłówniki i szarady nadesłali: **Giermek, Orzeł karpacki, Gołąb pocztowy, Marysieńka, Zenia i Lucio, Świsł-Poświsł i Gwiazdka**, dobre zaś rozwiązania: **Różowa stokrotka, Sikorka, Anulka R. i Giermek.**